Ner 11. Kraków, 18go Marca. 1862.

ROK II.

NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:
Bez mód:
Rocznie . . 6 zł. — c. w. a.
Półrocznie . 3 „ —
Kwartalnie . 1 „ 50 „ „ „
Miesięcznie . — „ 50 „ „ „
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 10 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 5 „ 10 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 55 „ „ „
Miesięcznie . — „ 85 „ „ „

Prenumerata zamiejscowa wynosi:
Bez mód:
Rocznie . . 7 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 3 „ 60 „ „ „
Kwartalnie . 1 „ 80 „ „ „
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 11 zł. 40 c. w. a
Półrocznie . 5 „ 70 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 85 „ „ „

„Niewiasta“ wychodzi co tydzień w jednym lub półtora arkuszu.

Prenumerujący za granicą Państwa austr. i Królestwa Polskiego płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 zł. 30 centów wal. austr. — Talar pruski przyjmuje się po 2 zł. w a.
Inseraty (stósowne) opłacają się: za pierwszorazowe umieszczenie od wiersza petytowego 4 cent., nastepnie po 2 cent. Dokłada się 30 cent. za każdą razą na stempel rządowy.
Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie.**
Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane Księgarnie.

Wykład Literatury Polskiej.

(Zob. Nr 5, 7, 8, 9 i 10).

Wesele Maksyma należy treścią właściwie do Czarnogórców, my jednak ośmielamy się przywieść je tutaj jako obraz ostatnich chwil Serbii. Konanie bowiem słowiańskich południowych szczepów, pod naciskiem islamizmu, miało prawie jedną cechę; śpiewak więc wesela Maksyma w szczegółowej historyi całość rzucił nam przed oczy i pieśń ta jest wypełnieniem pieśni o klęsce na Kosowem polu. Tam już książęta posądzają się o zdradę, w strwożonych oczach Serbów rośnie w rozmiary potęga Amurata: „Gdybyśmy wszczyscy (mówią Serbowie) zamienili się w bryłę soli, jeszcze by im nie stało na wieczerzę... Kropla deszczu, spadająca z nieba, niedoszłaby do ziemi; ale musiałaby trafić na grzywę konia, albo na turban żołnierza.“ Pod naciskiem tej groźnej potęgi ginie bohater Serbii: Car Lazar. Czarne kruki roznoszą po kraju wieści o śmierci cara i o skonie Serbii. Tu koniec Serbii, jako państwa na zewnątrz. W weselu Maksyma odgadujemy jeszcze jej ostatnie drgnienie — jej życie wewnętrzne. To życie występuje po raz ostatni w całej sile i świetności. Zaślubienie córki doży, bogate swaty, cenne dary nadają pieśni koloryt weselny, strojny; ale wśród tego przepychu czuć znaki zgnilizny, która się roztwiera głęboką raną w kłótni Miłosza [1]) i Maksyma. Obaj książęta turczą się, i płaszcząc się na dworze sułtana, chcą jeden na drugiego wymodlić sobie zemstę. Smutny koniec wielkiego narodu. Na grobach Serbii rozsiadło się królestwo pieśni, większe, bogatsze, niż u innych szczepów.

Pieśni serbskie, ciągnąc tradycyą do naszych czasów należą już po części w dział literatury ludowej, do której teraz z kolei przystępujemy.

Klechdy, obrzędy i zwyczaje ludu odsłaniają nam najstarsze jego oblicze, pieśni zaś malują nam go więcej w obecnej chwili. Klechda bowiem, obrzęd, zwyczaj to spuścizna starych czasów, które lud szanuje, do których nawykł i zmieniać ich nie lubi i niechce; pieśni zaś, będących wykwitem uczucia zmienia ton i barwę.

Ztąd klechdy, obyczaje i obrzędy ludu mają wielkie podobieństwo i wspólną cechę, podczas gdy pieśni, różne od siebie, stanowią właśnie lokalną charakterystykę ludu. Wprawdzie i klechdy w długiej pielgrzymce z ust do ust doznały pewnych zmian; ale treść ich, ale cecha ich pozostała. Każda — klechda to powieść fantastyczna, czarodziejska, której tłem i ostatnim wynikiem prawda moralna, sprawiedliwość. Żaby, smoki latające, jakie się jawią w tych klechdach; przemiana kształtów; bogata roślinność, jakiej lud nasz niewidział nigdy: każą nam się domyślać pochodzenia tych baśni z Azyi. Czy one dostały się tu wraz z ludem w niepamiętnych czasach, (co być może, bo wszystkie indo-europejskie ludy przechowały w swych klechdach fantastyczne obrazy i pojęcia wschodu, a germańskie ludy wypisały je nawet architektonicznemi kształtami), czy też klechdy te, (jak chcą inni, dostały się do naszego ludu przez kupców, pielgrzymów, bogumiłów itd., co mi się mniej prawdopodobnem wydaje, bo wtedy nie rozeszłyby się tak szeroko w lud) — to zostawmy uczonym badaczom.

Klechd tych nieprzywodzę tutaj. Powinienby je każdy znać. Każdemu mamka, piastunka, sługa bajała wieczorami takie powieści, a choć wylecą z pamięci, to ogólne szkice trwale rysują się w zamroczonej pamięci. Zwierzęta przemieniające się w drzewa, drzewa gadające, urocze oczy, trzy zorze, upiory, płazy, karły, olbrzymy, potwory niewykończone, złe i dobre duchy są głównemi bohaterami takich klechd; w obec tych potęg tajemniczych, niewyraźnych natury, człowiek stoi biernie, pod ich ustawicznym wpływem. Do tych fantastycznych klechd pomięszały się potem powieści o zbójnikach, o zarazie, wilkołakach, powieści noszące już barwę czysto lokalną, lubo niepozbawione cudowności, tajemniczości. Lud, odtrącony od życia politycznego, nierozwinięty umysłowo, otacza się gęsto tą przędzą własnej fantazyi i bawi się tym światem nie tutejszym [1]). Serbia mniej ma klechd i powieści, więcej podań historycznych. Przyczyna tu w stosunku ludu do wypadków, do życia.

W zbiorach powieści i podań ludu Wójcickiego, Berwińskiego, Balińskiego, Barszczewskiego, Siemieńskiego i innych, ciekawe czytelniczki poznać mogą szczegółowo to, co się tu w ogólnych zarysach o klechdach powiedziało.

Obrzędy i zwyczaje ludu naszego są nacechowane wielką starością, szczególniej te, które są wspólne wszystkim szczepom. Pomiędzy temi nieposlednie miejsce zajmuje zwyczaj palenia *sobótek*. Lubo chrześcianizm umiał

[1]) Miłosz staje w pieśni w roli zastępcy Maksyma. Kiedy bowiem ojciec Maksyma poślubiał synowi córkę doży weneckiego, Maksym był przystojnym młodzianem, i ojciec pełen dumy mówił o tej piękności. Ale kiedy Maksyma ospa zeszpeciła, ojciec wysełа Miłosza, udając go do czasu za syna, i za tę komedyę bogate obiecał mu dary. Niedotrzymanie obietnicy jest przyczyną sporu.

[1]) W klechdach i powieściach lud dopełniał sobie tworami fantazyi brak szczęścia rzeczywistego. Mieszkańcy nizin mazowieckich prawią sobie o szklannych górach, żyjąc w poddaństwie podniósł w powieści bohaterów ze swego stanu na trony królewskie, dał im *złotego ptaszka* itd. Lud tatrzański biedny marzy o skarbach zaklętych na każdej górze.

na zwyczajach pogańskich zatykać krzyż i zatracać w pamięci pogańską przeszłość, przecież w tym zwyczaju powiew pogańskich czasów nadto żywo czuć się daje. Do dziś dnia w wilią ś. Jana pola i pagóry słowiańskie patrzą na święte ognie i słyszą pieśni, w których, jak niewyraźne echo, przebija się wspomnienie o Kupale, na cześć którego te ognie dawniej palono. Noc ta mysteryjna ma dziwny urok dla wieśniaczego ludu. Dziewczęta pytają wody i wianków o wróżby przyszłości, paprocie i cudowne zioła kwitną i mowią. Lud patrzy tej nocy na naturę oczami swych praojców.

Pominąwszy *gaik, kolędy*, o których trudno z pewnością orzec czy pochodzą z pogańskich czasów? (lubo niektórzy kolędę wywodzą od bóstwa Kolada, bóstwa biesiad i zabaw) — zatrzymamy się chwilkę przy uroczystosciach weselnych ludu.

U Słowian, u których życie familijne tak pięknie było rozwinięte, poszanowanie związków małżeńskich było wielkie i wesele było jedną z największych uroczystości, i jest nią do dziś dnia. Wesele dla naszego wieśniaka, to najpiękniejszy poemat] w szarem i bezbarwnem życiu. To też nierad z niem się rozstaje i dni kilka przeciąga zabawę. Od pierwszych swatów aż do przenosin, chłop nasz żyje całą pełnią życia: od wesołej piosnki aż do rzewnego płaczu, całą tę bogatą a rozmaitą skalę uczuć przechodzi w takiej chwili; tu rozwija dowcip; tu wśród tych starych zwyczajów przypomina sobie dawne czasy, *w których mu lepiej było;* tu piersi jego roześpiewnią się w całej sile, tu wiąże przyjazne stosunki itd. Główne rysy obrzędów weselnych są w całej Słowiańszczyznie prawie jednakie, i to przemawia za ich starością.

Swaty pana młodego, z wódką lub miodem, lub innym napitkiem idą w dom dziewczyny. Tu najstarszy swat, orator wioskowy z humorem rozwija swe krasomowne zdolności. Ciekawe są takie oświadczyny w krakowskiem, dają one nam zarazem wyobrażenie o humorze, butności i fantazyi naszego chłopka:

Przysłali nas tu nasi do wasych,
Byście nom dali swoją brizelicę
Za nasego chlustoca.
Jak nam docie — to odkręciwa, [1])
Jak nie docie — to nieodkręciwa.

Drugą ważną chwilą przedweselną jest pieczenie korowaju (placka lub chleba weselnego) i wicie wianków. Pierwszem trudnią się swaty, drugiem drużki. Pamiętać należy, że w każdej takiej pracy pieśni są jak nieodstępne towarzyszki. Następne ceremonie weselne jak: ubieranie do ślubu panny młodej i śpiew niecierpliwych drużbów, pochód do kościoła z muzyką i starostą na przedzie, powrót do domu, przywitanie chlebem i solą, czepiny — są powszechnie znajome, więc je tu pominę, a wspomnę o przenosinach panny młodej. Opuszczenie rodzinnych progów i błogosławieństwo rodziców należą do podnioślejszych chwil wesela. Dziewczę żegna ławy ojcowskiego domu, polewane misy, obrazy, a w końcu uklęka przed matką z płaczem i prosi o błogosławieństwo.

Posępny Rusin smutne pieśni śpiewa w takiej chwili, wesołe krakowskie drużby, uwijając się około wozu naładowanego posagiem panny młodej nieumieją płakać, rubasznym żartem rozbijają smutek i łzy:

A siadajże na wóz,
Warkoczyki załóż,
Czegóż będzież płakała?
Od ojca, od matki,
Zabierzesz dostatki,
Czegóż będziesz szlochała?

Zakończymy te obrzędy pogrzebową *stypą.* Ta biesiada pogrzebowa, w której wieśniak zapija pamięć trumny i żal wspominaniem nieboszczyka i przypiciem do niego, rażąco przypominają nam pogaństwo. Jeszcze do dziś dnia w niektórych okolicach, szczególniej leśnych, kładą umarłym do trumny chleb, sól, pieniądze i t. d. To pokazuje jak tradycye silnie wrastają w pamięć ludu, z jaką poszaną lud je przechowuje w sobie.

To był ogólny szkic ważniejszych obrzędów naszego ludu. Gołębiowski w dziełku „lud polski i jego obyczaje“ szeroko o tem się rozpisał, lubo przedmiotu nie wyczerpał. Chcąc poznać lud, trzeba powstać z niego, i żyć wśród niego, i okiem myślącego badacza patrzeć na każdy odcień jego życia familijnego i gromadzkiego. Można też dopatrzyć wiele ciekawych i zajmujących szczegółów. Arystokracya rodowa i majątkowa, stosunek żony do męża, dzieci do rodziców, sług do gospodarzy, tradycye domowe — to wszystko są rzeczy wielkiej wagi, na które przecież dotąd niezwracano uwagi, a przecież takie badania bardziej odsłonią naszą starą przeszłość, niż niepewne dowody i hipotezy uczonych.

Obrzędy i zwyczaje ludu pokazywały nam go w dalekiej perspektywie pogańskich czasów; powieści historyczne zaś i przysłowia są świadectwem jego rozwoju i życia do naszych czasów. Lud, stojący na samem dnie historycznego życia narodu, mało wie o jego postaci i rzadko występuje mętną falą na wierzch. Zdarzenia historyczne opadają na to dno w ostatecznych rezultatach, które lud jeszcze według swych pojęć nagina, przekształca, zmieniając nazwiska osób i miejsc działania, i dając ostateczny swój sąd o wypadkach. Odgadnąć więc z tych powieści historyczne chwile narodu można, co jest rzeczą najważniejszą w historyi, ale dojść do ścisłych dat trudno.

Wielkopolska i Małopolska ma takich powieści wiele; dość tu wspomnieć całe bajeczne dzieje Polski, które kronikarze z podań ludu spisywali; u podtatrzańskich górali powieści te mają raczej szatę legendową i cudowną, (o uspionych wojskach Bolesława, o śtej Kunegundzie i napadzie Tatarów i t, d.). Najwięcej ich dochowało się na Rusi. Ruś, szerokie koryto najazdów, wielkie pole walki, ciągle stękała dotkliwie wśród klęsk, najazdów. Lud wiejski uczuł silnie te straszne chwile, krwawo zapisywały się one przez długie lata w jego pamięci, i z ruskiej niedoli narodziła się smutna córa *duma.*

Dumy ruskie kręcą się ciągle w zaczarowanem kole najazdów tatarskich z różnemi odcieniami (o dzieciach wracających z niewoli, których matka własna niepoznała; o matce, która u sturczonej córki jako branka służką się staje itd.). — Późniejsze opiewają wyprawy kozackie i sławę bohaterów kozaczyzny.

Przysłowia ludu są jego filozofią. On sądy o rzeczach nabyte długiem doświadczdniem zamyka w treściwych zdaniach, których wagę zna i szanuje; a jeżeli dotego jeszcze przysłowie *składne* (rymowane) — to powaga jego tem większa. Rozróżnić tylko trzeba przysłowia szlacheckie od ludowych. Ucho wsłuchane w język i pojęcia ludu łatwo schwyci tę różnicę. Zbioru osobnego przysłów czysto ludowych niemamy, czego żałować trzeba, przysłowia te bowiem porządnie ułożone odsłoniłyby nam najwięcej umysłową stronę ludu, będąc owocem jego postrzegania, rozsądku i dowcipu. Przysłowia te są dwojakie: historyczne, (t. j. będące wynikiem jakiegoś zda-

[1]) Rozumie tu mowca odkręcenie korka od flaszy, z którą w dom przychodzi.

rzenia historycznego, np. sprawić komu łaźnię i inne, i te są po większej części szlacheckie — i spółeczne.

Przysłowia ludowe odnoszące się do jego stosunku, do szlachty i księży, są nacechowane cierpkością i uszczypliwością, czuć w nich wyraźnie żal i wyrzut. Pominąwszy wiele innych przytoczę tu tylko kilka:

Popu idzie jak skopu.
Kocie oczy — księże gardło,
co zobaczy toby żarło. —
Łaska pańska na pstrym koniu jeździ itd.

Tyle o przysłowiach.

Legendy, których główną cechą jest religijność i cudowność, i bajki, często wchodzą w zakres klechd, (jak np. powieść o Madeju jest klechdą i legendą razem). Niewiele jest legend, które się czysto utrzymały. Z tych piękniejsze są: serbska: *święci dzielą się światem.* Z polskich: *Kinga, Krzystofor* i inne. Początek ich widocznie nie z ludu; ale z kościoła; lecz lud przerobił je po swojemu i przyswoił je sobie, i dla tego są dla nas ciekawe i ważne.

W końcu przechodzimy do pieśni ludowych.

(Dok. Igo Okresu nast.).

DOMNA ROZANDA,

Opowiadanie historyczne;

przez

KAROLA SZAJNOCHĘ.

(Dokończenie)

VIII. Rozsypka skarbów i domu.

Przeczuwał słusznie Lupuł, iż zięć jego w Czehrynie nie przestanie długo na samej ręce Rozandy i wziętej z nią części posagu, lecz zgłosi się niebawem po resztę na Wołoszczyznę. Jakoż zaledwie kilka tygodni od wesela minęło, obesłał Tymoszek hospodara prośbą gorącą, aby mu pozwolono schronić się w Jasach przed dżumą, która właśnie grasować miała na Ukrainie. W razie odmówienia nastąpić mogły nalegania groźniejsze, w razie zaś przyjęcia łatwe do przewidzenia spiski Tymoszka, przeciw teściowi w samych Jasach. Nie chcąc tedy podzielić się władzą z natrętem, a pragnąc pozbyć się go co rychlej, wszedł hospodar w ową przez Tymoszka na weselu rzuconą myśl przywłaszczenia sobie ziemi multańskiej, i zaczął w istocie czynić ku temu zabiegi w Carogrodzie.

Uprzedził go tem jednak hospodar multański Raduł, knując zamiar całkiem przeciwny. Od jednej z krewnych swoich u dworu w Jasach, małżonki Lupułowego kanclerza czyli logofeta Stefana, o weselnej pogróżce Tymoszka uwiadomiony, porozumiał się Raduł czemprędzej z tymże szwagrem swoim Stefanem i księżęciem siedmiogrodzkim Rakoczym, z którymi dalej oczerniwszy Lupuła u dywanu, wyjednał rozkaz cesarski złożenia go z hospodarstwa, a osadzenia na niem dotychczasowego logofeta Stefana. Nim przezorny zwyczajnie Lupuł spostrzedz się zdołał, opasały go w Jasach sidła spiskującego kanclerza, i nadciągnęła już w granice wołoskie sprzymierzona armia multańska i siedmiogrodzka.

W siedm miesięcy po zaślubinach Rozandy, dnia 6 kwietnia r. 1653, była stolica Lupułowa w ręku Raduła, Siedmiogrodzian, i uroczyście hospodarem obwołanego logofeta Stefana, a cała rodzina hosdodarska po raz drugi od niedawna w ucieczce przed napaścią przemocną. Hospodarowa z pozostałemi dziećmi i ze skarbami znalazła przytułek w Polsce za niezdobytemi murami Kamieńca podolskiego; hospodar jednocześnie rzucił się o pomoc na Ukrainę, i do otwartej zawsze drogi dalszych intryg w Stambule. Dzięki zaś niewyczerpanym jeszcze bogactwom sławnego hospodara, zaświtała mu rychlejsza nadzieja ratunku za pomocą przekupionych baszów dywanu, niż wcale nieskorego w tym wypadku zięcia Tymoszka. Już układy Lupułowe z dywanem tak dalece dojrzały, iż z przywróceniem dawnego stanu rzeczy nastąpić miało rozkazem sułtańskim pojednanie wojujących przeciwników wołoskich, a spodziewana odsiecz kozacka ciągle jeszcze nie przybywała.

W tem przed bliską już zgodą zupełną, w przedchwili całkowitego uspokojenia Wołoszy, wtargnął do niej Tymoszek z tłumem najwyuzdańszego Kozactwa. Zapaliła się nowa wojna, początkowie bardzo pomyślna dla Lupuła. Pustosząc i plondrując całą krainę, opanowali Kozacy także stolicę Jassy. Osiadł w niej znowu Lupuł z zięciem Tymoszkiem, wróciła z Kamieńca podolskiego odwołana przez męża hospodarowa z rodziną i skarbami. Aż do zupełnego uciszenia się wojny osadził ją Lupuł w bardzo warownej twierdzy Soczawie, dokąd też za mężem Tymoszkiem zjechała z Ukrainy Rozanda. Po niedługiem rozłączeniu ujrzały się znowu matka i córka, ale w jakże smutnie zmienionem położeniu. Dalszy ciąg wojny jeszcze smutniejsze niestety wywołał zmiany.

Wyparłszy wojska multańskie z Wołoszczyzny, pokusił się zwycięzki Lupuł z Tymoszkiem do oddania wet za wet nieprzyjaciołom, i uderzył w pogoń za Radułem do Multan. Tam jednakże opuściło ich szczęście dotychczasowe. W połowie lipca 1653 ponieśli ciężką klęskę, która im wszelką możność dalszej wojny odjęła. Rozbity Lupuł zbiegł manowcami do starego Chmielnickiego na Ukrainę, Tymoszek z resztą Kozaków umknął do Wołoch, i połączył się z teścią i małżonką w Soczawie. Toż za nim stanęli pod murami twierdzy nieprzyjaciele; hospodar multański Raduł, powszechnie już hospodarem wołoskim uznany logofet Stefan, i książę siedmiogrodzki Rakocy. Pozostało im tylko opanować Soczawę, a najświetniejszym, jakiego pragnąć mogli, tryumfem, bo pojmaniem głównego sprawcy niepokojów, Tymoszka, i zdobyciem głośnych od tak dawna skarbów Lupułowych, zakończą wojnę.

Jakoż ku temu ostatniemu celowi, ku opanowaniu Soczawy przez sprzymierzeńców, ku jej obronie przez hospodarową, Tymoszka i Kozaków, wytężyły się teraz wszelkie usiłowania. Zaniosło się na jedno z pamiętniejszych oblężeń, jakie znane są w nowszych dziejach wojennych. Zamknięte w twierdzy dostatki — nietylko tłumowi oblegających, ale i samym naczelnikom jako główny wieniec zwycięztwa przyświecające — nadawały całemu przedsięwzięciu charakter jakiejś nowej wojny o złote runo. Obecność schronionych w Soczawie niewiast, mianowicie znanej z nieugiętego charakteru hospodarowej, nie umniejszyła, lecz przydała owszem hartu obronie. W nadziei doczekania się z Ukrainy odsieczy kozackiej pod Bohdanem Chmielnickim i Lupułem, postanowiono bronić się do ostatniego okruchu murów.

Z tąż samą usilnością a nierównie szczęśliwiej działali i sprzymierzeńcy. Podczas, gdy starania Lupuła o pomoc Bohdana Chmielnickiego żadnej nie przyniosły korzyści, powiodło się przeciwnikom urość znacznie w związki i siłę. Zastał Lupuł Bohdana w Czehrynie tak pijanym przez cały tydzień, iż niemógł wcale rozmawiać o czemkolwiek. Obaczywszy nareszcie ósmego

dnia hospodara, nadstawił mu Bohdan kufel i rzekł: „Oto bracie najlepsza pociecha w smutku.“ O inną trudno było tym razem, gdyż sam Chmielnicki widział się teraz zagrożonym wojną ze strony Polski, i musiał przedewszystkiem o własnej myśleć obronie.

Tymczasem oblęgającym Soczawę sprzymierzeńcom nadciągnęła znaczna pomoc polska pod mury twierdzy. Wszczynając wojnę przeciwko Lupułowi, przesłał nowy hospodar Stefan z książętami: multańskim i siedmiogrodzkim oświadczenie przyjaźni i wiecznego sojuszu z Polską, byle Polacy zaniechali wspierać Lupuła. A ponieważ Lupuł teraźniejszym stosunkiem swoim do obudwóch Chmielnickich stał, się chcąc nie chcąc otwartym nieprzyjacielem Polski, przeto zgodzono się w Warszawie na ofiarowane przez Stefana przymierze, i dla tem rychlejszego odjęcia Lupułowi i Chmielnickim wszelkiej nadziei na Wołoszczyźnie, wsparto sprzymierzeńców wołoskich w dobywaniu Soczawy. O tej samej jesiennej porze r. 1653 wyruszył jedną drogą król polski na czele armii koronnej naprzeciw Bohdanowi Chmielnickiemu ku Ukrainie, i stanęły drugim traktem nader pożądane posiłki polskie w obozie oblegających Tymoszka Multańczyków i Siedmiogrodzian.

Z podwojoną więc siłą rzucono się do szturmowania Soczawy. Oblężonym pokrzepił odwagę nadesłany od Lupuła list z upomnieniem, aby przynajmniej tydzień jeszcze wytrwać w obronie, gdyż z upływem tego czasu zdąży Bohdan Chmielnicki niewątpliwie z Kozakami i Ordą ku odsieczy. Zagrożona tą nadzieją hospodarowa ożywiała swoim duchem niezłomnym całą załogę, wynachodziła coraz nowe środki obrony. „Zięcia napominając, Kozaków pieniądzmi korumpując, Wołochów obietnicami zniewalając“ — czytamy o niej w kronikarzu współczesnym — „wszystkich śmiałością swoją zachęcała, dzieliła żywność, mięsiwo, bydlęta, oraz i wodę miarą każdemu dawała. Niestało prochu, wystawiła do robienia onego naczynia; Tymoszka obligowała, aby z Kozakami pijąc pobudzał onych do nieustającej obrony. Jedna białogłowa wszystkie sprzymierzone wojska tak długo oszukiwała, traktaty pokoju z kondycyami pomyślnemi odrzucała, bo książę siedmiogrodzki obiecywał od Turczyna łaski dawne, byle się zdała na imie cesarza tureckiego. Nie chciała.“

Chmielnicki jednak nie przybywał z odsieczą, a ogień nieprzyjacielski coraz szersze czynił wyłomy. Odparto wprawdzie szczęśliwie główny szturm sprzymierzeńców, według ich zamysłu ostatnią zgubę Soczawy; ale, gdy się właśnie do czasu poza obrębem niebezpieczeństwa mniemano, poraził oblężonych cios niewymownie szkodliwy. Zginął od niego Tymoszek, gdy właśnie za poradą hospodarowej zachęcał Kozaków do wytrwania. „Siedział z Kozakami pijąc“ — ciągnie dalej opowiadanie kroniki — „trafiła kula w koło jednego woza, i zgruchotawszy oś, ugodziła w łeb Tymoszka dwoma ułamkami osi z impetem, że mózg wyprysnął, i nogę mu zgruchotała. Na miejscu bez duszy został. Porwali go i trzęśli, chcąc go otrzeźwić; lecz nie mając głowy, niemógł już ożyć...“ Za karę srogiego kupczenia krwią jeńców pod Batowem nie dano mu było zginąć po żołniersku, od kuli. Zginął jak pijanica, przy dzbanie, od drewna wozu chłopskiego.

Śmierć Tymoszka boleśniej dotknęła Soczawę, niż Rozandę. Spędzony z nim rok pożycia w Czehrynie, rok ciężkich obelg i smutków, nie zdołał przywiązać do niego hospodarówny. Owdowienie wróciło ją nazad opiece macierzyńskiej, która mogłaż przykrzejszą być Rozandzie od Tymoszkowej? Soczawie zaś ubyło wszystko z młodym Chmielnickim, gdyż ubyła jej gotowość pułków kozackich do dalszej obrony grodu, nie mającej teraz bez Tymoszka żadnego dla nich celu. Zaczęli tedy Kozacy stygnąć widocznie w pełnieniu służby, i odzywały się już tu owdzie rady zaprzestania walki bezużytecznej, poddania się Polakom. Każdej chwili mogła Soczawa ujrzeć się bez obrońców, hospodarowa z rodziną i skarbami w mocy wzgardzonych tak długo wrogów.

Wówczas ręka Rozandy miała posłużyć za ostatnią nętę Kozakom. Sierotę przez całe życie, przez całe życie najdzikszych postanowień ofiarę, przeznaczyła ją matka darem kozackiemu wodzowi Fedorowiczowi, jeśli wytrwa w dalszej obronie. Wraz z ręką Rozandy posiąść miał Fedorowicz cały ostatek skarbów, jaki mimo ciągłego szafowania ocalał jeszcze w podziemiach twierdzy. A gdyby Fedorowiczowi zabrakło odwagi do takich darów, tedy którykolwiek z Kozaków potrafi nakłonić towarzyszów do dalszego oporu, każdemu odda hospodarowa córkę młodzieńczą. W sierocych losach Rozandy myrt ślubny boleśniej ranił od cierni, weselny pochód oblubieńca krwi strugami zalewał ziemię, zwierzchnicza władza dywanu przyprawiała o hańbę, a teraźniejsza opieka macierzyńska o ileż litościwszą była od wrogów?

Ale żadne zachęty nie zdołały obudzić ducha w Kozakach. Pozostali wierni zamysłowi poddania się Polakom, i pociągnęli resztę załogi do tegoż kroku. Dnia 9go października 1653 podpisaną została umowa złożenia broni, poddająca Soczawę na imie króla polskiego nowemu hospodarowi Wołoszy: Stefanowi, i jego sprzymierzeńcom z Multan i Siedmiogrodu. Dla siebie samych zastrzegli Kozacy tylko wolność powrotu na Ukrainę, nie zabierając z sobą nic więcej jak tylko ciało zabitego Tymoszka. Hospodarowę z owdowiałą Rozandą i resztą dzieci pozostawiono łasce zwycięzców, skarby Lupułowe miały się im dostać równym podziałem. Na też ostatnie zwróciła się teraz powszechnie uwaga ludzka, wyglądająca z niewymowną niecierpliwością chwili przekonania się nareście własnem okiem o tych złotych dziwach wołoskich, o które tak długo dobijano się zewsząd swatami o rękę hospodarowien, zbrojnemi najazdami na Wołoszczyznę, przelewem krwi pod Batowem i krwią w tylu szturmach do Soczawy przelaną.

Za tyle zaś ofiar cóż nareszcie uszczęśliwionym padło zdobywcom? Bądźto nie mając czem pochwalić się przed ludźmi, bądźto w chęci utajenia światu właściwej miary obłowu, podzielili się zwycięzcy książęta Wołoch, Multan i Siedmiogrodu w największej cichości skarbami zdobytemi. Król polski, Jan Kazimierz, bardzo bliski teraz grodowi zdobytemu, bo na czele wielkiej wyprawy przeciw Bohdanowi Chmielnickiemu pod Kamieńcem właśnie stojący, nie przyjął ofiarowanego sobie udziału w skarbach soczawskich. Z podrzędnych pomocników zwycięztwa nikt też znamienitszym nie poszczycił się wziątkiem. Nie przyszło zatem do spodziewanego objawienia oczom ludzkim tajemnicy dostatków Lupułowych, i... jak to zwyczajnie nazbyt długich oczekiwań bywa owocem, skończyło się wszystko jałowem rozczarowaniem.

Aby przecież jakąkolwiek cyfrą uspokoić ciekawość świata, liczono ogólną sumę skarbów w przedjutrzu oblężenia Soczawy na sześć milionów w złocie i srebrze. Kilkumiesięczny przeciąg szturmów soczawskich o wiele je uszczuplił: rozszafowawszy tyle na wojsko, na obronę murów, na zachętę pułków kozackich. Znaczną też ilość złota mieli oboje hospodarstwo jeszcze przed ostatecznym upadkiem usunąć szczęśliwie rękom zaborców, powierzając ją tajnym, odległym schowkom. O hospodarze Lupule opowiadano, iż ogromne sumy poumieszczał w bankach miast zagranicznych, w Kon-

stantynopolu, w Wenecyi, Londynie, Gdańsku. Na hospodarowej ciężyło posądzenie, jakoby wiele beczek kruszcu zakopać kazała w ziemię, gdzie one może dotąd butwieją bezużytecznie. Nawet przy biednej Rozandzie miało przechować się potajemnie niemało skarbów, które jednak nietylko nie uratowały jej w powszechnem teraz rozbiciu domu; ale owszem zgubę jej przyspieszyły.

Jak bowiem sławne skarby rodziny hospodarskiej, tak i cała rodzina poszła w straszną rozsypkę. Schronionemu na Ukrainie hospodarowi powiodło się już było uzyskać pomoc tatarską, z którą pospieszał czemprędzej ku odsieczy Soczawie, gdy w tem zaskoczyła go wiadomość o poddaniu się twierdzy, zmieniająca nagle cały jego stosunek do sprzymierzonych ordyńców. Nie potrzebnego już na nic kazał chan krymski okuć w kajdany, i odstawić go do Stambułu. Tam za przykładem tylu poprzedników na tronie hospodarskim został Bazyli Lupuł osadzony natychmiast w sławnej Jedykule czyli Czarnej wieży nad morzem, z której dla podobnych jemu rozbitków nie było zwyczajnie wyjścia za życia. Żadnej też odtąd wieści o hospodarze Lupule, zapewne uduszonym z rozkazu sułtańskiego w więzieniu.

Małżonka Lupułowa dostała się w niewolę książęcia siedmiogrodzkiego. Znając jej przebiegłość, moc ducha i rozliczne związki w Stambule, poczytano ją za więźnia niebezpiecznego, nad którym należało czuwać pilnie we dnie i w nocy. Musiała tedy hospodarowa zaprzysiądz na ewangelią, iż nie będzie do nikogo pisywać listów, ani do hospodara Lupuła, ani do krewnych w Carogrodzie. Zwłaszcza stosunki z przyjaciołmi w stolicy ottomańskiej zostały jak najsurowiej wzbronione, pod karą ucięcia nosa i uszu kilkoletniemu synkowi, podobnież straży książęcia siedmiogrodzkiego poruczonemu. Uprowadzona wreście do Siedmiogrodu, znalazła tam hospodarowa ścisłe do pewnego czasu więzienie, aż nakoniec, przestawszy losem swoim zajmować uwagę ludzką, poszła całkiem w zapomnienie u świata. Nie znamy żadnego podania historycznego, któreby nas oświecić mogło o schyłku dni matki Rozandy.

Tem smutniejsza pewność pozostała o losie córki. Po stracie męża, rodziców, skarbów i czci u świata, przyszło nieszczęśliwej najprzykrzejszego zapewne doświadczyć losu, bo szukać schronienia na Ukrainie, u Tymoszkowego ojca Bohdana. I ztamtąd wszakże coraz sroższemi burzami wojennemi wygnana, wróciła na Wołoszczyzuę, do jakiegoś pozostałego po rodzicach ostatka posiadłości. Wróciła nieszczęśliwa jedynie po to, aby niezwyczajnie okrutnym sposobem postradać życie. Wkrótce bowiem po osiedleniu się w dworku ojczystym otoczyły ją dawne pogłoski o niezmiernych skarbach ojca Lupuła, z których niemałą część miała unieść z sobą z Soczawy, i zakopać w ogrodzie dzisiejszego mieszkania. Wystarczyło to łotrzykom tamtoczesnym do pokuszenia się czemprędzej o wygrzebanie tych złotych plonów. Opadła Rozandę niebawem zgraja opryszków, i nie mogąc wydrzeć jej skarbów ukrytych, wydarli jej życie na mękach.

W domiar smutku byli to ziomkowie jej małżonka Tymoszka, Kozacy ukraińscy, przypadkowie o tej porze na Wołoszczyznie bawiący. Donosi o ich zbrodni w krótkich ale charakterystycznych wyrazach podobnież Kozak, autor wysoce wychwalanej kroniki czynów kozackich za Chmielnickiego. Jego to słowa niech zakończą tę smutną powieść o biednej sierocie bez ojczyzny, którą tak krwawemi bojami wydzierano sobie za życia, a o której śmierci tylko ta jedna pozostała wiadomość

„Dla ciszy i spokoju do wołoskiej wróciwszy ziemi“ — czytamy w naiwnych. ale zwyczajnie bardzo wątpliwych opowiadaniach Samuela Wieliczki — „żyła w niej Domna jako bogata i można wdowa aż do dnia śmierci swojej, która niespodziewanym sposobem spotkała ją z ręki włóczęg i hultajów kozackich. Wracając z jakichsiś zaciągów wojennych na Wołoszczyznie, dowiedzieli się oni o mieszkającej w pobliżu Domnie, i zbójeckim obyczajem do majętności jej wpadłszy, i wszystkie pod ręką będące bogactwa i skarby zrabowawszy, zaczęli mękami i tyraństwem dopytywać się Domny o resztę ukrytych skarbów. Wszakże ona, jako odważna niewiasta, odpowiedziała Kozakom: „Wolę, aby skarbami mojemi władała raczej ziemia bezduszna, niż wy nieśmiertelną duszą obdarzeni wrogowie moi.“ Któreto słowa skończywszy, skończyła i życie Tymoszkowa małżonka Domna.“

W JASSYRZE.

(Poemat historyczny),

Jana Kantego Turskiego.

(Dokończenie).

XXIV.

W podziemnych lochach wieży Jedykuły
Siedział wybladły hetman, przebolały,
Więzy, co ręce i nogi mu skuły,
Tak go serdecznie sobą otulały,
Że od czułego ich pierścieni ścisku
Nie mógł się ruszyć. A w lochu podziemnym
Ani jednego światła nie miał błysku.
Wązkim przechodem i niskim i ciemnym
Wnosił mu Turczyn raz dnia pożywienie,
Aby konania przedłużyć cierpienie.
Wezyr za karę, że się zbrodnią zmazał
Ucząc Fatimę miłości i wiary,
Już nie udusić, lecz głodzić go kazał.
„Wtrącony w lochu dzikiego przepaście,
„Niechaj umiera w nich dni kilkanaście.
„Jęk jego bolu przez grube sklepienie
„Nie dojdzie Boga — ni niebios, ni ludzi —
„O! bo na takie zasłużył cierpienie,
„Ten, kto uczucie w sercu Turka budzi!“

I konał hetman... w chwili, gdy z narodu
Poselstwo nowe Carogród witało,
I gdy przymierze z Polski czcią i chwałą
Zawarło... Hetman — konał wtedy z głodu.
Spokojny jeniec nic już nie narzekał,
Patrząc się w oczy śmierci — skonu czekał.
Pewny, że męczarń nagrodę odbierze
Tam, kędy cnotę nagradzają szczerze.
A gdy duch resztką pamięci przyświecał:
Bogu ojczyznę i żonę polecał.

XXV.

Serce, ogrzane wiary namaszczeniem,
Wytrwale czeka spełnienia ofiary,

I światu idzie powiedzieć natchnieniem,
Że i śmierć jego nie przełamie wiary.

Fatima, przez swą miłość dla hetmana,
I jego wiarę miłowała święcie,
I w niej, choć słaba, była niezłamana,
Choć ją złej doli kusiło zaklęcie,
Choć biedna, w głuchej zamknięta komnacie,
Szyderstwem dzikiej pojona litości,
Widziała piekło w swym rodzonym bracie,
I piekło w zamian dostała miłości.

Lecz, czyjej duszy, chociażby raz jeden,
Oblicze niebios wiarą się rozśmieje —
Ten przejdzie piekło w wędrówce na Eden,
I serca zimnych duszą swą ogrzeje!

Tak też Fatima, miłością hetmana,
W miłości Boga była nie zachwiana;
Choć głuche jęki jej zbolałej duszy,
Któremi piersi niczyjej nie wzruszy,
Trucizną bolu wracały w jej łono,
Choć była biedną i niepocieszoną.
Fatima, w krzyżu raz ujrzawszy Boga,
Już się go dłońmi ujęła obiema,
Wiedząc, że przezeń do zbawienia droga,
Chociaż w tej drodze dla niej szczęścia niema.
Fatima, stając pod krzyżem swej doli,
Jak chrześcianka żyła z poświęcenia,
Niczem jej były dzikiej brata woli
Szyderstwa, wzgardy, klątwy i zelżenia.
I na modlitwie dni całe pędziła,
Choć się tych modlitw z księgi nie uczyła —
Miłość jej mistrzem i jej księgą była.

A wezyr w dzikość i zemstę wciąż rośnie,
Obelgi miota i przeklina sprośnie,
I... szydząc z męczarń hetmana, Fatimie
W dzikiem szaleństwie rzuca jego imie.

Dziś jednak milczy, wzrok jego ponury,
Jak błyskawica jaśniejąca z chmury,
Piorunem gniewu milczącym wciąż ciska,
I jako szatan szyderstwem połyska.
Dziś wezyr niemy. Do Fatimy celi
Wszedł, i wzrok dziki na jej czoło cisnął,
I zaciął wargi i tak okiem błysnął,
Jak lwica, której ludzie lwiątka wzięli.
I tak stał niemy. Fatima klęczała
I na dzikiego brata nie spojrzała.
Wezyr się zbliżył ku niej: dziki, wściekły —
Słowa, któremi radby siostrę witał,
Snać strasznie wargi jego sine, piekły,
Bo ich nie mówił... tylko niemi zgrzytał.

Fatima wzrok swój ku niemu zwróciła,
Ale w tym wzroku taka miłość była,
I taki spokój święty i zwycięzki,
Że się wstrząść musiał najdzikszy duch męzki.

To też znów słowa wezyra skonały
Na sinych wargach: czemuś zadrżał cały,
Czyby się przeląkł instynktem anioła,
Któremu gwiazdy świeciły u czoła?
Czyby się wzruszył?... O! nie — on zwyciężył
Chwilę szaleństwa nieznanych mu wrażeń.
On, budząc siostrę z jej pogańskich marzeń,
Tak wściekłość swoję uzbroił — wytężył,
Że ją ująwszy za jej białe ręce
Porwał — jak burza niewinny kwiat zrywa,
I rzekł: „Fatimo! siostro nieszczęśliwa,
„Ja wszystko, wszystko dla ciebie poświęcę,
„Jeno mi więcej nie bluźń giaurów Bogiem.
„Ałła się na nas za twą zbrodnię gniewa —
„Zguba nam grozi; poselstwem złowrogiem
„Hetman wykupion, uszedł zemsty mojej,
„Teraz szyderstwem pierś spragnioną poi,
„I doli swojej tam się naigrawa,
„Kędy w zniewadze marnieje nam sława.
„Siostro!...

Lecz próżna wezyra namowa,
Fatima słysząc upragnione słowa,
Słysząc, że hetman wolność już odzyskał,
Nie bacząc, że jej ręce wezyr ściskał,
Wzniosła je k' niebu, wzniosła razem obie,
I wzrok ku niebu za niemi wysłała,
Wołając: „Boże! Tobie — Tobie chwała,
„Najświętsza chwała giaurów Boże Tobie!“

Wezyr oniemiał — z dzikiego zapału —
Chwila przyniosła wściekły pomysł szału:
Kindżał mu w ręku błysnął — nad jej łonem,
Nadzieją pomsty serce swe pocieszył,
„Najlepiej zbrodnię całą — skończyć skonem.“
Nie myślił... zmierzył — i pierś śmiercią przeszył.
. . . .

Biały trup leżał u nóg poganina,
A krew z jej łona trysła mu na czoło —
Fatimy szczęścia wybiła godzina,
Trupa oblicze śmiało się wesoło...

I wezyr śmiał się... wielki prawowierca...
Śmiał się — i... dziwnie na trupa spojrzawszy
Rzekł: „Ałło!... braciom mym będziesz łaskawszy!“
I odszedł — wielki! — wielki, — lecz bez serca.

XXVI.

I wracał hetman z modlitwą gorącą,
Do ojczystego wracał szczęśliw kraju,
Z świętą miłością i wytrwaniem wrzącą,
Spieszył — jak dusza spieszy się do raju.
Nadzieja szczęścia grała w sercu pieśni,
O jakich ludziom na ziemi się nie śni.
A serce świętą wiarą w łonie rosło
I Panu modły dziękczynienia niosło.
A gwiazd tysiące śmiało się wesoło,
I księżyc wesół zaglądał mu w czoło,
Na którem jaśniał święty zapał ducha.

I sto kurhanów słów hetmana słucha,
Które w modlitwie szczerej w niebo wznosi,
I w polskim świecie całą piersią głosi.

A w grobie spiący hetmańscy rycerze
Drgnęli ochotą do boju — a w niebie
Bóg słuchał uczuć, bijących tak szczerze,
I błogosławił im wszystkim u siebie.

A kłosów morza, kwiatów oceany
Zginają czoła przed hetmańską władzą,
I białym sznurem ciągnące bociany
Do samych progów ojczystych prowadzą...
Do samej jego w Polsce drogiej strzechy...
Zwiastuny wiosny — szczęścia i pociechy.

KONIEC *).

Zapóźno.

(Ustęp powieściowy z galeryi serc kobiecych).

(Ciąg dalszy).

Nastała wiosna piękna, pogodna. Zazieleniały się pola i sady, kwiatów i woni mieli ludzie dużo; ale przednowek był ciężki i głód w wiosce. Dwór pana Alfreda stał się ucieczką biednych. On i córka byli niezmordowani.

Jednego dnia po obiedzie pan Alfred wstał i rzekł do Zosi:

— Wdziej kapelusz, pójdziemy na wieś.

— Znowu na wieś? — jabym chciała: żeby Zosia została przy mnie; hrabia L. ma przyjechać.

Zosia przelękła się tego nazwiska, z niemą prośbą spojrzała na ojca. Pan Alfred nieuważał tego.

— Jak chcesz — rzekł obojętnie — to ja sam pójdę, niedługo wrócę. Adieu!

Po odejściu pana Alfreda pani Konstancya kazała córce usiąść koło siebie. Zosia usiadła z daleka od matki; matka spojrzała jej w oczy. Zosia miała oczy pełne łez.

— Usiądź bliżej. Cóż ty niekontenta, że ze mną zostajesz?

— Ale nie mamo — i zmięszało się dziewczę.

To pomięszanie zabolało matkę; kobieta światowa uczuwała teraz próżnią w sobie, jej potrzeba było serc, któreby lgnęły do niej od czasu jak Alfred stał się dla niej tak zimny. Niebyła to jeszcze miłość, ale chęć rządzenia sercami, chwilowe zachcenie miłości własnej.

Zosia usiadła przy matce. Pani Konstancya wzięła jej rękę, chcąc ją ośmielić. Zosi rączka drżała w dłoniach matki, pani Konstancya zmarszczyła brwi, zagryzła wargi, puściła chłodno rękę córki i obojętnie rzekła:

— Weź robotę, i siądź przy oknie; a dla p. L. proszę być grzeczną.

Niedługo zaturkotał na mostku lekki koczyk hrabiego, Zosienka ścierpła. Koczyk szybko nawrócił przed ganek, hrabia zgrabnie wyskoczył z niego i za kilka chwil był już w salonie. Wymuskany, wyświeżony, jakby z mód wycięty, z wyuczoną elegancyą skłonił się obu paniom. Pani Konstancya przywitała go z grzeczną powagą. Zosia wymuszonym uśmiechem i trwożliwem spojrzeniem.

— A gdzież pan Alfred?

— Mój mąż przy gospodarstwie; ale niezadługo nadejdzie. Proszę siadać.

I zaczęła się rozmowa o wszystkiem i o niczem. Pan hrabia był wymowny, wiele widział, wiele przeżył, więc mu treści niebrakło w rozmowie. Paryż, Londyn, postęp, cywilizacya, jak sztuczne ognie strzelały z ust hrabiego; potem rozpowiadał o swoich nudach na wsi, użalał się nad paniami itd. Pani Konstancya była zachwycona jego rozmową. Zosia, zagadywana przez hrabiego, odpowiadała krótko, nieśmiało; matka patrzyła na nią znacząco, rozkazująco. Potem zaczęto mówić o poezyi. Pan hrabia był wielkim jej zwolennikiem i protektorem nawet.

— Te wiersze Niemce.... a... nie, mnie się zdaje Mickiewicza — to bardzo ładne wiersze; ale przyznają mi panie, że prędko znudzą; a francuski romans to się czyta tak gładko, tak bez unużenia. A panny Zofii jakie w tem zdanie?

— Ja niemogę mieć jeszcze żadnego. Czytam, co rodzice uważają za stósowne, ale przecież myślę, że w jednym wierszu Adama więcej treści, niż w tomie francuskiego romansu.

Pani Konstancya roześmiała się:

— Daruj jej pan — to dziecko jeszcze pod tym względem i niema zdania.

Pan hrabia niepróżnował. Zbliżył się do Zosi i... nachylając się nad jej jasną główką, pytał znowu:

— Jakąż śliczną robótką pani zajęta? czy wolno spytać dla kogo?

— To dla papy na imieniny.

W tej chwili na ganku przed oknami stanęła jakaś biedna, wynędzniała kobieta. Brudne szmaty okrywały jej zżółkłą twarz i małą dziecinę.

Zosia dojrzała ją i zerwała się:

— Mamo! biedna! wybiegnę do niej.

Niepotrzeba, lokaj wyniesie jej jałmużnę.

Zadzwoniła — wszedł lokaj.

— Daj tej żebraczce jałmużnę, a zakaż jej na drugi raz przychodzić na ganek.

---

*) NOTA.

Treść do niniejszego poematu wzięta jest z drogocennych Szkiców historycznych Karola Szajnochy, (Tom IIIci, Powieść o niewoli na wschodzie). W opowiadaniu o jassyrze Stanisława Koniecpolskiego, hetmana koronnego polnego, trzymał się autor ściśle prawdy historycznej, jak niemniej był wiernym w oddaniu niezłomności jego charakteru. Fatima jest tylko córą wyobraźni — a właściwie loicznem wyidealizowaniem wielkiej potęgi prawdziwej miłości.

Wzmianka, w rozdziale Iym o dwóch hetmanach, odnosi się do śmierci hetmana wielkiego koronnego Żółkiewskiego, który poległ w nieszczęsnej wyprawie cecorskiej.

W ostatniem poselstwie do Turcyi wysłanym był od Zygmunta III Jerzy Zbaraski, i temu udało się nareszcie wykupić hetmana z jassyru za 30000 talarów. P. A.

Zosia zasmuciła się, okiem pełnem litości patrzała na biedną, którą lokaj wyganiał z ganku.

— A już to pani Dobrodziejka ma słuszność — rzekł hrabia — że nietrzeba ośmielać tego proletaryatu, bo potem się i ognać trudno. U mnie chłop nie śmie się zbliżyć do pałacu, bo by mu się i do pokoju zachciało.

— A jakże pan z nimi rozmawia? — spytała Zosia.

— Ja nigdy z chłopem nie rozmawiam.

Do salonu wszedł pan Alfred zmęczony i chustką ocierał pot z czoła.

— A.... pan hrabia.

— Panu Dobrodziejowi moje uszanowanie — rzekł hrabia ściskając ręce Alfreda.

— A! gorący dzień.

— Pan Dobrodziej zapewne od gospodarstwa?

— O! nie panie, byłem na wsi. Niedostatek po chatach okropny, aż litość bierze; a do tego lud tak twardy w swej nędzy, że nieprzyjdzie do dworu, aż już mu głód dobrze dokuczy. Samemu trzeba chodzić i prosić się z pomocą, a szczególniej z lekarską, do której się nieradzi uciekają.

Pan hrabia zrobił twarz poważną.

— A tak, tak, ten lud nieumie ocenić naszego poświęcenia, naszego trudu.

— Poświęcenia? — zagadnął pan Alfred — ja myślę, że to powinność nasza.

Hrabia się zmięszał, ale wnet przyszedł do siebie:

— Tak powinność, którą jednak można podnieść do poświęceń.

I jeszcze dużo w tej mierze mówił gładko pan hrabia, czem sobie zjednał zupełnie pana Alfreda; a Zosi biedaczce w głowie się mięszało, jak mógł ten człowiek, co nigdy z chłopem nierozmawiał — mówić o poświęceniu się dla niego. Młode dziewczę niemogło zrozumieć, że można być łotrem... a mówić piękne mowy i toasta.

Potem pan hrabia jeszcze pograł na fortpianie, bo i to umiał, nagadał panu Alfredowi dosyć pięknych zdań, paniom kilka komplementów przy herbacie, pokręcił się po salonie i wyjechał.

Zosia odetchnęła. Pan Alfred wziął gazetę i zabierał się do odejścia.

— Proszę cię, zostań, mam z tobą o ważniejszej rzeczy pogadać — rzekła pani Alfredowa, a do Zosi obracając się rzekła: idź już spać — i pocałowała ją w czoło.

Pan Alfred także pożegnał Zosię, położył gazetę, usiadł i czekał z flegmą na rozmowę. Pani Konstancya zaczęła:

— Miałam już dawniej z tobą o tem mówić; ale od niejakiego czasu nie miałam szczęścia oglądania cię dłużej w domu, odkąd cię ta wieś tak zajmuje.

— Niemówmy o tem, dawniej ja mógłbym się był skarżyć — do rzeczy moja pani!

Pani Konstancya pobladła wśród tych obojętnych słów, czoło jej kurczowo, boleśnie się zgięło; prędko pokonała wzruszenie, zmrużyła dumnie oczy i mówiła spokojnie, bawiąc się frendzlą aksamitnej salopy:

— Zosia jest już w tych latach, że jej potrzeba iść za mąż...

— Ale ona dzieckiem jeszcze.

— Dzieckiem niej est, ma lat siedmnaście; ale nie tyle wiek zmusza mnie do wydania jej za mąż, ile pana nietaktowne ze mną postępowanie, które dziecko gorszyć może...

Pan Alfred znowu skrzywił się niechętnie:

— Niemówmy o takcie, może wyszedłem z niego, nie jestem muzykalny. Dawniej może zanadto w takt skakałem; ale to niebyła moja muzyka. Co się tyczy Zosi zgadzam się; ale trzeba przecież pierwej, żeby się o nią ktoś starał?

— Wszak pan hrabia L. — on tu nie bez celu bywa. Jego ciotka mówiła mi, że Zosią od jesieni zajęty i że ma stałe zamiary.

Pan Alfred pomyślał trochę.

— No, to byłoby nie złe, i jabym nic nie miał przeciw temu.

— Ale trzeba, abyśmy z Zosią wyjechały do wód, na zimę do miasta, aby nabrała trochę manier, na których jej zbywa.

— Tegobym sobie wcale nie życzył. Przekonałem się dosyć dotkliwie, że maniery do małżeńskiego pożycia najmniej są potrzebne.

— Ależ to potrzeba, to jest przyjęte w świecie — rzekła z siłą i imponującą powagą pani Konstancya.

— Wierzę bardzo; ale ja niechcę dla świata dziecka wychować, jeno dla domowego życia. Kto kobietę pcha w świat, ten z niej robi potwora.

— A jednak pan musisz się zgodzić na to, bo ja chcę — rzekła pani Konstancya i wstała.

— Wątpię — rzekł z flegmą, lubo już trochę zapalając się pan Alfred — pieniędzy nie dam.

— Już je wzięłam od bankiera — mówiła dalej pani Konstancya, zyskująca tem więcej na pewności, im bardziej na twarzy męża postrzegała wzruszenia.

— Zosi nie dam — rzekł Alfred z siłą.

— Śmiesznym pan jesteś, matce niewolno mieć prawa do swego dziecięcia?

— Matce? różne są matki, i jeżeli pani niechcesz stracić ostatniej odrobinki szacunku swego dziecka, radzę ustąpić mi z drogi, bo scenę zrobię, a po mojej woli stać się musi. Dobranoc.

Odszedł. Pani Konstancya siadła — tak ją ta walka słów zmęczyła. Wstyd, upokorzenie, wyrzuty, boleść, wszystko to chaotycznie kłębiło, burzyło w piersi kobiety, i serce kobiece drgnęło w niej znowu, i rozbolałe wycisnęło na oczy dwie łzy duże, które przygniotła rękami. I nikt tych łez i tego bolu niewidział, jeno blada lampa, co patrzyła na pokurczoną boleśnie twarz kobiety-posągu.

(Dokończenie nastąpi).

TEATR.

Wdzięczni powinniśmy być dyrekcyi teatru za przedstawienie d. 8go marca na scenie naszej komedyi Alksandra Fredry p. t.: *Gwałtu co się dzieje!* Sztuka, zarysowana na tle ogólno-ludzkim trzyma się ściśle w ramach swojskich, i posługuje się jedynie swojskim kolorytem: jako szczerym polskim humorem, i polską rubasznością, którę jeszcze Krasicki w Panu Podstolim uniewinnił. Mężczyźni w spodnicach, niańczący dzieciom; kobiety w czapkach i rządzące miastem (Osiekiem) — oto treść komedyi. Sytuacye nie wymyślne i nie naciągane, zawikłania łatwe, a rozwiązanie najprostsze i dla tego najefektowniejsze: Towarzysz pancerny przynosi wieść o napadzie tatarskim i wzywa wszystkich, co noszą czapki, na koń. Kobiety porzucają czapki, a mężczyzni gotują się do obrony i rządu miasta, aby było wedle słów Krasickiego, które na tyle pozwalają, na ile pozwolić można: My rządzim światem a nami kobiety.

O artystach to możem sumiennie powiedzieć, że żaden roli i sztuki oczywiście nie popsuł, wszakże o wszystkich możem twierdzić, że nie dosyć wniknęli w sztukę i w swoje role, zaczem ich dosyć nie odcieniowali. Jeżeli Molier wymaga studyowania, toć i Fredro.

Sprostowanie: Nr 10: str. 75, szp. 1: w. 4, z.: wilki, cz.: wilki wyją; w. 6, z.: Grak, c.: Gzak; w. 45, z.: bóstw, c.: bitew; w. 46, zam.: wylania się, c.: wytchnienia; w. 52, z.: „Hoc, c.: „Noc; szp. 2: w. 14, z: Barileusza, czyt.: Bazyleusza. Str. 76, szp. 2: w. 5, z.: *Skadry*, c.: *Skadru*; w. 49, z.: Próżno, c.: próżno; w. 55, zam.: Taty, czytaj: Faty.

K. J. Turowski. Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu“. — Rządzca druk. **Antoni Rother.**